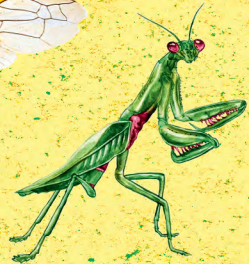
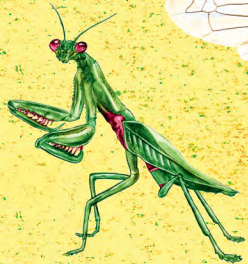
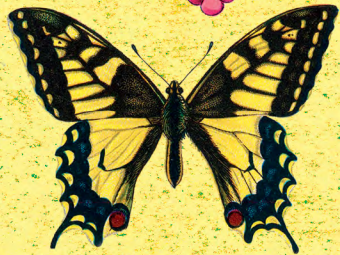
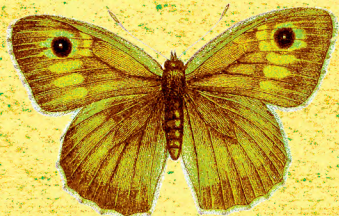
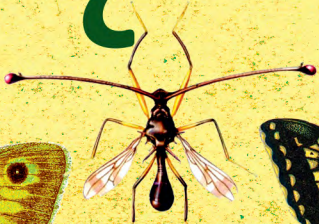


DAVE GOULSON

ŁĄKA



MARGINESY

DAVE GOULSON

ŁĄKA

ZAPYLACZE, KRWIOPIJCY
I MUCHY FLEJTUCHY

Przełożyła Karolina Iwaszkiewicz

MARGINESY

dla Lary

A Buzz in the Meadow

COPYRIGHT © Dave Goulson 2014

First published in Great Britain in 2014 by Jonathan Cape

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Karolina Iwaszkiewicz

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY,

WARSZAWA 2018

Wstęp

W 2003 roku kupiłem zapuszczone gospodarstwo z trzy-nastoma hektarami łąki w samym sercu francuskiej wsi. Chciałem stworzyć rezerwat, gdzie nieniepokozone przez rolników, mogłyby mieszkać motyle, ważki, traszki i norniki – a zwłaszcza moje ukochane trzmiele, które od dwudziestu lat badam i próbuję chronić. W pierwszej części *Łąki* opowiem wam o tym niewielkim zakątku, o żyjących w nim roślinach i zwierzętach, ich historii i moich wysiłkach, by je wspierać. Większość filmów przyrodniczych i działań na rzecz ochrony przyrody skupia się na stworzeniach dużych i charyzmatycznych: wielorybach, pandach, tygrysach i tak dalej. Napisałem tę książkę między innymi po to, byście docenili też te mniejsze i spotykane na co dzień – owady i ich krewnych. Tak się złożyło, że na mojej łące występuje wiele gatunków, którymi zajmowałem się zawodowo, wspomnę więc także o swoich próbach naukowego zgłębnienia ich tajemnic. Opowiem wam między innymi o tym, w jaki sposób tykotki rudowłose dobierają się w pary, i o tym, dlaczego muchy domowe są ważne, o kwiatach, które są dla pszczoł czymś w rodzaju cieplarni, i o politycznych zawłościach życia os. Być może zdołam podzielić się z wami radością odkrywania i satysfakcją, jaką daje badanie istot, z którymi dzielimy planetę. Chciałbym też, by ta książka uświadomi-

ła wam, że to, co wiemy o przyrodzie, to tylko wierzchołek góry lodowej. Na jednej łące można znaleźć nieprzebrane mnóstwo niezbadanych stworzeń, niewyjaśnionych zjawisk i fascynujących zagadek, które dopiero czekają na rozwiązanie. Jakże jeszcze cuda czekają, byśmy je odkryli?

W drugiej części książki pokażę, jak mieszkańcy łąki są ze sobą nawzajem powiązani. Rośliny rywalizują o przestrzeń, wodę i światło, są pożywieniem roślinożerców, żywicielkami pasożytów i nosicielkami chorób. Stosują rozmaite strategie, by zwabić zapylaczy. Zapylacze dostosowują się, by rozpoznawać najlepsze kwiaty i jak najszybciej zabierać nagrodę; czasem okradają roślinę, a czasem dają się nabrać i zapylają, nie dostając nic w zamian. Niezliczone małe zwierzęta i mikroorganizmy rozkładają martwe liście i odchody, a rośliny korzystają z uwolnionych w ten sposób składników odżywczych. Drapieżne ptaki, pająki i owady oddają roślinom przysługę, ograniczając liczbę zjadających je gąsienic, koników polnych i mszyc. Każdy gatunek jest w taki czy inny sposób powiązany z setkami innych siecią zależności, której nie potrafimy w pełni zrozumieć.

W ostatniej części pokażę, że w miarę jak ludzie wyciskają z ziemi wciąż więcej i więcej, by zaspokoić swoje liczne potrzeby, świat staje się coraz bardziej nieprzyjazny dla dzikich roślin i zwierząt. Podam kilka przykładów zniszczeń, do których doprowadziliśmy – i wciąż doprowadzamy – od szkód wywołanych przez prehistoryczną ekspansję pierwszych ludzi po te wynikające z nadużywania toksycznych substancji we współczesnym rolnictwie. Wiele niezwykłych istot żywych, z którymi dzielimy planetę, wskutek naszych działań powoli znika, często zanim zdążymy się czegokolwiek dowiedzieć o nich czy o ich roli w przyrodzie. Ta książka

ma przypomnieć, że powinniśmy cenić życie we wszystkich jego postaciach. Kiedy ginie jakiś nieopisany gatunek, na zawsze przepadają jego tajemnice. Niszczymy dziedzictwo naszych dzieci, okradamy je z radości odkrywania i badania przyrody. I co więcej, zmniejszamy zdolność planety do podtrzymywania naszego istnienia. Bo choć bardzo niewiele rozumiemy ze złożonych interakcji między zamieszkującymi ziemię istotami, to mamy mocne dowody, że te interakcje są fundamentalne dla jej zdrowia, a zatem dla naszego własnego dobrostanu – a może i dla naszego przetrwania.

Chcę sprawić, żebyście spojrzeli na świat świeżym okiem; namówić was, żebyście wyszli do ogrodu albo do parku, kucnęli i popatrzyli. Jest tam tyle do zobaczenia! Gdy przyjrzeć się z bliska, nie sposób nie docenić niezgłębionego, drogocennego piękna życia. A jeśli nauczymy się je doceniać, może znajdziemy sposób, by je ocalić.

I

Opowieści z Łąki

Mieszkamy na kulistej skale o średnicy zaledwie trzynastu tysięcy kilometrów, unoszącej się w niewyobrażalnym bezkresie kosmosu. Od najbliższej planety, na której mogłoby istnieć inne życie, dzieli nas co najmniej dziesięć tysięcy miliardów kilometrów, odległość dla ludzkiego umysłu niepojęta. Poświęcamy mnóstwo czasu i wysiłku na budowanie teleskopów zdolnych zajrzeć w pustkę nawet głębiej, na nasłuchiwanie i analizowanie fal radiowych z odległych galaktyk, w nadziei, że odkryjemy oznaki istnienia tego innego życia. W filmach, programach telewizyjnych i powieściach często pojawiają się fantazje na ten temat. Tymczasem rzeczywistym cudom, które nas otaczają, nie poświęcamy zbyt dużo uwagi.

Dzielimy naszą małą skalę może i z dziesięcioma milionami gatunków, a wielu z nich jeszcze nawet nie nazwalimy.

Jestem szczęśliwym właścicielem małej łąki kośnej na francuskiej wsi. Jako ktoś w rodzaju przyrodniczego train-spottera zidentyfikowałem na niej do tej pory ponad siedemdziesiąt gatunków pszczoł, sześćdziesiąt gatunków ptaków, dobrze ponad sto gatunków roślin okrytonasiennych i pięćdziesiąt różnych motyli. To tylko mały ułamek całości; nie wziąłem się jeszcze za skoczogonki, roztocza, larwy, pająki,

chrząszcze, ślimaki – i zapewne nie znajdę na nie czasu. Olbrzymia większość ignorowanych przez nas zwierząt jest mała, wiele z nich ledwo da się dostrzec gołym okiem, niektóre są jeszcze mniejsze. Ale jeśli zadacie sobie trud, by umieścić któreś z tych maleńkich stworzeń pod mikroskopem, odkryjecie precyzyjną symetrię i kunsztowną budowę. Każda taka istota ma inną historię, każda musi znajdować pożywienie, rosnać, unikać drapieżników, szukać i uwodzić partnerów, składać jaja i tak dalej. Każdy krok wiąże się z wyzwaniem i przeszkodami i każdy gatunek rozwinął wyjątkowy zestaw strategii służących przeżyciu i rozwojowi – w przeciwnym razie już dawno by zniknął. Ale nawet mieszkańcy Europy Zachodniej, gdzie studiowanie historii naturalnej ma długą tradycję, o większości z tych zwierząt prawie nic nie wiedzą.

Przedstawię wam teraz niektóre owady i inne żyjątka z mojej łąki, z tych niewielu przynajmniej trochę poznanych, i opowiem, co wiadomo o niektórych z ich bardziej egzotycznych krewnych. Spróbuję opisać fascynujące szczegóły ich zachowania i ekologii, wyjaśnić ich rolę w ekosystemie i opowiedzieć o wysiłkach, jakie podjąłem, by zachęcić je do zasiedlenia mojego małego wiejskiego zakątka. Witajcie na łące.



Modraszek wieszczyk.

24 kwietnia 2007. Poranny bieg: 9,3 kilometra, 42 minuty i 2 sekundy. Francuska wieś jak zawsze prawie bezludna; nie widziałem ani jednego człowieka, obszczało mnie za to 5 psów, nieprzywykłych do widoku biegaczy. Poranek cudowny, chłodno, w górze czyste błękitne niebo, na trawie gęsta rosa, przydroża całe w pierwiosnkach. Zaobserwowane gatunki motyli: 6 – odwracam swoją uwagę od bólu mięśni, sprawdzając, jak wiele jestem w stanie wypatrzeć bez zatrzymywania się. Próbowałem też z trzmielami, ale ich przeważnie nie da się szybko zidentyfikować. Wśród namierzonych dziś motyli modraszek wieszczyk i samiec latolistka cytrynka z migoczącymi w słońcu siarkowożółtymi skrzydłami. Wystraszyłem także parę dzięciołów zielonych mrówkujących* na ścieżce za polem; ich nerwowego krzyku i rozkołysanego lotu nie da się z niczym pomylić. Cierniówki śpiewały melodyjną, płynną piosenkę we wszystkich zaroślach, które mijalem; okres godowy wyraźnie w rozkwicie – słyszę je wszędzie wokół, gdy siedzę na ławeczce przed drzwiami i zraszam te notatki potem.

* Niektóre ptaki wróblowe od czasu do czasu pozwalają, by oblażyły je mrówki. Podchodzą do mrowisk, niekiedy kładą się w pobliżu albo rozkładają skrzydła, by owady weszły między ich pióra i spryskały je kwasem mrówkowym, który zabija żyjące w upierzeniu pasożyty. Takie zachowanie ornitologów nazywają mrówkowaniem (przyp. tłum.).

Sześćdziesiąt pięć kilometrów na północny zachód od Limoges, nieopodal przycupniętej nad rzeką Vienne uroczej średniowiecznej osady targowej Confolens, znajduje się stare wiejskie gospodarstwo. Leży ono mniej więcej w połowie odległości między południową a północną granicą kraju, jakieś sto dziesięć kilometrów od zachodniego wybrzeża, w dużym sennym departamencie Charente, pełnym łagodnych wzgórz, lasów dębowych, rdzawych krów limousin i pól słonecznikowych poprzecinanych leniwymi meandrami rzeki, której departament zawdzięcza swoją nazwę. Gospodarstwo zostało zbudowane mniej więcej sto sześćdziesiąt lat temu, przypuszczalnie przez jakiegoś *monsieur* Nauche'a, ponieważ nazywa się Chez Nauche, U Nauche'a. Charente obfituje w piękne, okazałe wiejskie posiadłości, z budynkami z muru ciosowego, trzykondygnacyjnymi lub wyższymi, i rzędami wysokich okien umieszczonych symetrycznie po obu stronach imponujących wejść. Ale Chez Nauche nie jest jedną z nich. Grube ściany mojego francuskiego domu zbudowano z nieociosanego miejscowego wapienia. Nieregularne kawałki skały pełnej skamielin, zapewne wykopanej z okolicznych pól, spaja pomarańczowa glina, także wydobyta prosto z tutejszej ziemi. Ściany zdążyły już zmienić położenie i pochylają się teraz pod interesującymi kątami.

Wzmocnione wiekowymi dębowymi belkami okna są przeważnie małe i nieregularnie rozmieszczone. Z obluzowanych dębowych okiennic już prawie całkiem oblaźła farba. Dom jest długi, niski i przysadzisty, frontem zwrócony na południe. Jak wiele skromniejszych budynków w okolicy pomyślano go tak, by wszystkie pomieszczenia mieszkalne znalazły się na parterze. Duży strych służył do przechowywania siana, które zimą zapewniało izolację. Strop zrobiono z grubych dębowych desek podpartych solidnymi dębowymi belkami o kwadratowym przekroju. Większość drewna pozyskano pewnie z miejscowych drzew; jest ręcznie obrobione, wciąż widać na nim ślady piły. Budowa musiała pochłonąć mnóstwo pracy, ale koszt materiałów był, jak sędzę, niemal zerowy.

Żeby zrobić dębową belkę, zwyczajnie szukano najbliższego w miarę prostego dębu i go ścinano. Potem kopano pod zwalonym pnem dół, głęboki na tyle, by jeden z budowniczych mógł się w nim położyć, i piłowano drzewo wzdłuż dużą piłą typu moja-twoja; jeden człowiek leżał w dole i wióry leciały mu na twarz, drugi stał na pniu. Gotowe belki ciągnięto końmi na plac budowy i za pomocą lin ustawiano we właściwej pozycji.

Dachówki są z miejscowej gliny. To model jeszcze z czasów rzymskich, nazywany mnichem i mniszką: dachówki o przekroju litery U, kładzione na przemian grzbietem na dół i grzbietem do góry. Nie sędzę, by *monsieur* Nauche wypalał je sam, to zbyt fachowa praca; pewnie były jedynym, za co musiał zapłacić, ale raczej nie pochodzą z daleka. Poza tym dom i otaczające go zabudowania wykonano z materiałów pozyskanych za darmo z najbliższego otoczenia i dlatego sprawiają wrażenie naturalnych, organicz-

nych, prawie jakby wyrosły z ziemi same, niczym dziwne kanciaste grzyby.

Kupiłem Chez Nauche w 2003 roku od *monsieur* Pouparda, starego rolnika. Z tego, co z moją słabą znajomością francuskiego udało mi się zrozumieć, mieszkał tu przez całe życie; hodował krowy mleczne i uprawiał ziemię. Po sześćdziesiątce postanowił przejść na emeryturę i sprzedać gospodarstwo, bo nie miał dzieci, którym mógłby je zostawić. Nie opiekował się domem; pozwolił, by wszystko powoli popadało w ruinę. Dach przeciekał, więc wewnętrzne belki gniły, a stary wapienny tynk pokrył się czarnymi plamami pleśni i zaczął złazić ze ścian. Przegniły także ramy okienne i dolna część drzwi wejściowych. Popękane szyby *monsieur* Poupard pozaklejał folią, dziury w drzwiach wejściowych załatał kawałkami blachy z wyklepanych młotkiem puszek. Instalacja wodna ograniczała się do jednego kapiącego kranu nad kamiennym zlewem, łazienki nie było, a za kibełek służyło wiadro w oborze.

Chez Nauche było, delikatnie mówiąc, niemal ruiną, ale przy wszystkich swoich wadach miało dla mnie, biologa z obsesją na punkcie dzikiej przyrody, jedną wielką zaletę. Dzięki niedbałości *monsieur* Pouparda w gospodarstwie roilo się od różnych zwierząt. Schludni mieszkańcy dzisiejszych brytyjskich domów na widok pojedynczej stonogi na dywanie czy mrówki w kuchni często reagują histerią. W Chez Nauche musieliby szybko zmienić podejście – w przeciwnym razie nieuchronnie groziłoby im załamanie nerwowe. Dom *monsieur* Pouparda przez lata powoli wrastał w otoczenie i choć usprawniłem to i owo, od kiedy go dziesięć lat temu kupiłem, wciąż jest schronieniem wielu żywych stworzeń. Dach pokrywają pomarańczowe, czarne i kremowe porosty,

pożywienie gąsienic. Rowki między dachówkami wypełniają wilgotne zielone poduszki mchu, zwłaszcza po północnej stronie; mieszkają w nich krocionogi, stonogi, niesporczaki* i wiele innych małych stworzonek. Inkrustowane porostami ściany spowija bujny gąszcz winorośli pnącej się po zardzewiałych wspornikach. Kiedy świeci słońce, co często się zdarza, chętnie przesiadują tam motyle, pszczoły i muchy rozgrzewające się przed wyruszeniem na poszukiwanie partnera lub nektaru. Pasiaste jak zebry skakuny i cętkowane brązowo-zielone jaszczurki murowe, zwinne zwierzęta o długich pazurzastych nogach, polują na owady, biegając po ścianach z nieprawdopodobną prędkością i błyskawicznie kryjąc się w wypełniającej szczeliny miękkiej glińianej zaprawie, gdy coś je przestraszy. Większość owadów jest zbyt szybka, by dało się je złapać, zwłaszcza jeśli zdołały utrzymać ciepło i są w stanie od razu zerwać się do lotu, ale w powietrzu mogą paść ofiarą nisko nurkujących jaskółek, które gnieźdzą się w szopie. Przy frontowej ścianie domu rosną kępy starej lawendy; latem jej powykręcane zdrewniałe łodygi uginają się od fioletowych kwiatów, pełne trzmieli, motyli i rozmazanych skrzydeł fruczaków gołąbków, które wisząc w powietrzu, spijają nektar długimi wygiętymi ssawkami.

* Bardzo możliwe, że nigdy nie słyszeliście o niesporczakach, po angielsku nazywanych także *water bears* [niedźwiadkami wodnymi] i *moss piglets* [mchowymi prosiakami]. Te maleńkie ośmionożne istoty, które rzadko mają więcej niż milimetr długości, są jednymi z najwytrzymalszych zwierząt na ziemi. Potrafią przeżyć dziesięć lat bez wody, wytrzymać temperaturę od -273 do 150°C , ciśnienie sześciu tysięcy atmosfer i promieniowanie tysiąc razy silniejsze niż to, które zabija człowieka. Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego naukowcy tak usilnie próbują zabić te niewinne stworzonka.

Do drzwi wejściowych prowadzi stara brukowana ścieżka. W szczelinach między nagrzanymi kamieniami samce wielkogłowych czarnych świerszczy nieprzerwanie wabia samice wesółym śpiewem, a jaszczurki i położy żółtozielone polują na chrząszcze i pająki. Przed domem rosną wiekowe brzoskwinie i śliwy, przygarbione i powykręcane. Na ich pniach wykwitają huby, na liściach pasą się pulchne zielone gąsienice pazia żeglarza, na gałęziach siedzą wielkie zielone pasikoniki, które zgrzytliwie grają, jakby próbując zagłuszyć świerszcze na dole.

W domu jest chłodno i ciemno, cykanie pasikoników i świerszczy zlewa się w odległy szum. Mieszka tu pełno nocnych zwierząt. Między starymi belkami rozpinają sieci najróżniejsze pająki; rachityczne nasoszniki przędą nieregularne, byle jakie pajęczyny, z których zwieszają się głową w dół, wielkie kątniki tkają gęste lejkowate konstrukcje i chowają się głęboko na ich dnie. Tłuste białe larwy korników, kózkowatych i tykotków rudowłosów drążą korytarze wewnątrz belek. Pod meblami i w szafkach kuchennych czyhają satynowoczarne mączniki, powolne i ociężałe, ale tak solidnie opancerzone, że nie muszą być szybkie.

Nocą dom opanowują gryzonie. Po podłodze ganiają myszy domowe, czasem wielkookie myszarki zaroślowe, nieco od nich większe. Szukają resztek jedzenia, smakowitych pająków i dziennych owadów, które przez pomyłkę wleciały do środka i nie zdołały się wydostać. Po belkach i ścianach biegają popielicowate: żołędnice europejskie z delikatnymi pręgami na pyszczkach, trochę jak u szopów, i długimi ogonami zakończonymi puszystą kitką oraz rzadsze popielice szare, przysmak starożytnych Rzymian. Żołędnice, choć urocze z wyglądu, są agresywnymi bestiami – popiskują na

siebie po nocach i często budzą mnie swoimi hałaśliwymi porachunkami. Ponieważ tak mi dokuczają, zastawiam na nie pułapki; uwielbiają cantal, produkowany w górach Oweronii twardy ser o intensywnym smaku, i zawsze dają się na niego złapać. Kiedy moi starsi synowie, Fin i Jedd, wówczas mniej więcej siedmio- i pięcioletni, po raz pierwszy zobaczyli schwytaną żołędnicę, warcząca gniewnie i gryząca krate żywołapki, obudzili mnie, krzycząc: „Tato, chodź, szybko, złapaliśmy małego diabła!”. Istotnie, biedne zwierzątko wyglądało dość strasznie, bo próbując się uwolnić, obtarło sobie nos do krwi. Wywiozłem dziesiątki tych małych diabłów daleko od domu i wypuściłem, porządnie nakarmione, ale moje wysiłki nigdy nie doprowadziły do widocznego zmniejszenia ich liczby. Popielice wydają się dużo spokojniejsze; mają piękne puszyste ogony i są tak duże, że łatwo je wziąć za niezwykle urocze niewielkie wiewiórki. Nie próbuję się ich pozbyć, nie potrafię się do tego zmusić.

Myszy są nerwowe, bo na strychu mieszkają płomykówki, których wypluwkami żywią się larwy moli odzieżowych i ciem *Monopis laevigella*. Jest tu też inne stworzenie, którego myszy z pewnością się boją. Kilka lat temu zamontowałem w dachu parę okien i wkrótce potem zauważyłem na szkle ślady łap jakiegoś sporego zwierzęcia. Widywałem też niekiedy długie odchody o przenikliwym zapachu, czasem na podjeździe, raz na parapecie. Cokolwiek to było, porywało się na poważnych przeciwników. Pewnego razu znalazłem na strychu skrzydło i głowę jednej z moich płomykówek, innym razem podczas porannego spaceru chłopcy natknęli się na drodze na zakrwawiony strzęp ciała – jedyne, co zostało z dużego położa żółtozielonego. Sądząc po szerokości tego kawałka, ofiara musiała mieć co najmniej półtora

metra długości, ale wszystko oprócz piętnastocentymetrowego fragmentu jej brzucha zostało pożarte. Tajemnicze zwierzę zyskało w naszej rodzinie status mityczny; dzieci z zapalem dociekały, co to może być, ale minęło sporo czasu, zanim w końcu znaleźliśmy odpowiedź.

Pozwólcie, że was oprowadzę. Zaczniemy na początku podjazdu, na północ od domu. Jest koniec maja, późne popołudnie. Wśród pienistych kremowych kwiatów rosnącego w tym miejscu dużego kasztanowca roi się od trzmieli, strącane przez nie płatki spadają na ziemię jak deszcz. Idziemy powoli po rozgrzanym starym asfalcie. Jest spękany, rozsadzają go napierające od spodu korzenie; tu i ówdzie ze szczelin wyrastają kępki grzebienicy pospolitej. Zatrzymujemy się, by obejrzeć mrowisko po lewej. Wokół łagodnej kopuły zbudowanej z wysuszonych źdźbeł trawy uwijają się wielkie brązowe rudnice. Mieszkają tu, odkąd pamiętam. Moi synowie uwielbiają je obserwować i zaczepiać; podejrzewam, że czasami rzucają im jakiegoś owada. Najmniejsza zmiana wywołuje poruszenie rozprzestrzeniające się, w miarę jak kolejne mrówki zaczynają wydzielać ostrzegawcze feromony. Po asfalcie promieniście rozchodzą się mrówcze ścieżki, którymi robotnice znoszą do gniazda kawałki roślin i owadów, by nakarmić larwy.

Dalej, po lewej, rośnie gęsty żywopłot z kolcolistu, sze-roki na pięć metrów albo i więcej. Na szczycie siedzi samiec kłaskawki, jego charakterystyczny śpiew brzmi, jakby ktoś stukał kamykiem o kamyk. Z pewnością gdzieś głęboko w gęstwinie ukryte jest podobne z kształtu do filiżanki gniazdo, w którym samica wysiaduje jaja błękitne jak niebo. Jeśli spojrzycie na wschód, zobaczycie mój sad: pięćdziesiąt rosnących w równych odstępach młodych jabłoni. Wyho-

dowałem je z nasion. Największe mają już prawie cztery metry, dwie w zeszłym roku po raz pierwszy owocowały. Pięćdziesiąt metrów od nas chłopcy biegają wśród drzew za motylami. Dwaj starsi, Finn i Jedd (teraz dwunasto- i dziesięcioletni), uzbrojeni w wielkie siatki na motyle przedzierają się przodem przez wysoką trawę i rozmawiają o czymś podekscytowani. Najmłodszy, trzyletni Seth, dzielnie stara się dotrzymać im kroku; w morzu zieleni widać tylko jego jasną, prawie białą czuprynę.

Po prawej rośnie dwulistnik pszczeli. Fioletowe kwiaty tej rośliny wyglądem i zapachem przypominają samicę pszczoły. Zwabione tym oszustwem samce próbują z nimi kopulować, ale jedyne, co dostają w zamian za swoje wysiłki, to grudka pyłku przyklejona do głowy. Muszą być jednak na tyle nierozważne, by popełnić tę samą pomyłkę jeszcze raz – inaczej dwulistnik także nic z tego nie będzie miał.

Na drodze przed nami kładą się cienie drzew. Po prawej rosną wielkie dęby, po lewej dęby i wiązy. Na ziemi leżą jeszcze kruche żołądźce z ostatniej jesieni. Wiązy wciąż atakuje holenderska choroba wiązów; zabija je, gdy dorosną do sześciu lub siedmiu metrów, ale na szczęście szybko odrastają od korzeni. W plamie słońca na asfalcie wygrzewa się samiec osadnika egerii; po chwili wzbija się w powietrze i rusza w pościg za latolistkiem cytrynkiem, który niebacznie wkroczył w jego rewiry.

Uwielbiam francuskie nazwy motyli, angielskie wypadają w porównaniu z nimi dość przyziemnie. Na przykład nazwa *orange tip* jest po prostu opisowa; francuska – *l'aurore*, świt – brzmi dużo bardziej poetycko. Jak Anglicy mówią na nakrapianego motyla żyjącego w lasach? *Speckled wood*, oczywiście. Francuzi tymczasem nadali mu imię pasterza

z bajki La Fontaine'a – *Tircis**. Kilka lat temu wpadłem na pomysł, by zorganizować lepidopterologiczną przechadzkę po Chez Nauche. Wysłałem plakaty z zaproszeniem do mera najbliższej wsi, Épenède, i do mera położonego kawałek dalej Pleuville i poprosiłem, by wywiesili je na tablicach ogłoszeń. Kupiłem mnóstwo lemoniady dla gości i wykupiłem wszystkie francuskie nazwy motyli i innych łąkowych owadów. Co prawda, oprócz tych nazw nie umiałem zbyt wiele powiedzieć spójną francuszczyzną i obawiałem się, że może mi to nieco utrudnić sprawę. W dniu, w którym spacer miał się odbyć, czekałem nerwowo przed domem, ale o wyznaczonej godzinie nikt się nie pojawił. Dziesięć minut później w końcu podjechał jakiś samochód. Były to Angielki, matka i córka; mieszkały w pobliżu, ale do tej pory nie miałem okazji ich poznać. Z przyjemnością oprowadziłem je po łące, choć czułem się trochę rozczarowany brakiem francuskiej publiczności. Prawdopodobnie obserwowanie motyli to ekscentryczna angielska rozrywka, która nie przemawia do francuskich rolników. Organizacje takie jak Królewskie Towarzystwo Ochrony Ptaków czy fundacja Ochrona Motyli bez wątplenia rzeczywiście mają dużo więcej członków w Anglii niż w jakimkolwiek innym kraju na świecie. Zrobiliśmy sobie miły spacer. Oglądaliśmy trzmielce, motyle i koniki polne, a na koniec podeszliśmy do leżącego na skraju łąki kawałka starej blachy falistej. Położyłem go tam, bo w takich miejscach chętnie wygrzewają się węże – liczyłem na to, że pod blachą znajdzie się coś, co zapewni naszej przechadzce spektakularny finał. I rzeczywiście: pod spodem leżał słusznego rozmiarów wąż Eskulapa, którego

* Po polsku zorzynek rzeżuchowiec i osadnik egeria (przyp. tłum.).



Wąż Eskulapa.

udało mi się efektownie złapać. Poszliśmy z nim do auta Angielek, matka zrobiła córce zdjęcie z wężem, a potem go wypuściliśmy – i wówczas wydarzyło się coś, czego nie przewidziałem. Zwierzę smyrnęło pod samochód, a potem wśliznęło się do wciąż jeszcze ciepłego silnika. Następną godzinę spędziliśmy, szukając węża pod maską. Bez skutku. W końcu biedne Angielki niechętnie odjechały, z wężem gdzieś w aucie. Mam nadzieję, że wszyscy przeżyli tę podróż...

Wróćmy jednak do naszego spaceru. Zbliżamy się do końca podjazdu. Po lewej stoją stare grube ściany tworzące wielki prostokąt – Alamo, jak ochrzcił go mój ojciec. To wszystko, co zostało z ogromnej obory. Kiedy kupiłem Chez Nauche, była w strasznym stanie, dach ział dziurami, piękne dębowe framugi prawie całkiem spróchniały. Nie miałem pieniędzy na remont, więc zdjąłem dach i zawiozłem do

punktu skupu te belki, które się jeszcze do czegoś nadawały. Na nagranych słońcem ścianach Alamo wygrzewają się jaszczurki i motyle, w środku bujnie rosną szczecie i osty, między kamieniami przemykają połyzy.

Po prawej znajduje się małe zagłębienie zarośnięte tarnią i jesionem. Kiedyś był tu płytki sezonowy stawik, ale niedługo po kupieniu Chez Nauche przez pomyłkę zasypałem go gruzem. Od tamtej pory powoli go oczyszczam, w nadziei na powrót traszek, które w nim niegdyś mieszkaly.

Zejdźmy z podjazdu na prawo. Kiedy miniemy stawik, wyjdziemy na zachodnią część łąki, gdzie prowadzę wielki, długoterminowy eksperyment – próbuję zwiększyć różnorodność flory. Tu i ówdzie posiałem szelężnik mniejszy, świetlik i pszeniec zwyczajny – półpasożytnicze rośliny, które wysysają substancje odżywcze z korzeni traw. Dzięki stłumieniu tych drugich powinno się zrobić więcej miejsca dla innych gatunków, przynajmniej w teorii. Skupiony w niedużych kępkach szelężnik – uroczą jednoroczną rośliną o małych żółtych kwiatach z fioletowymi koniuszkami – właśnie kwitnie. Jest za wcześnie, by ocenić, czy mój eksperyment się powiódł, ale i tak o tej porze roku łąka wygląda nieźle. Po dziesięciu latach bez nawozów i pestycydów jest już dość różnorodna. Z traw początkowo najwięcej było kupkówki, kłosówki wełnistej i rajgrasu wyniosłego, dużych, dominujących roślin, które mają tendencję do zaduszania wszystkich innych. Z biegiem czasu zaczęły one jednak zanikać i zostały częściowo zastąpione przez delikatniejsze, mniej agresywne trawy typowe dla łąki kośnej: kostrzewę, tomkę wonną i wyczyniec łąkowy. Pojawiły się także polne kwiaty: bodziszek plamisty, niezapominajka, starzec jakubek, bniec biały, brodawnik, koniczyna i lucerna, by wymienić tylko

niektóre. Część z nich rośnie w skupiskach, może dlatego, że ich nasiona trudno się roznoszą, a może dlatego, że z powodu jakichś subtelnych różnic gleba w jednych miejscach pasuje im bardziej niż w innych.

Zaraz przy podjeździe znajduje się kawałek gęsto zarośnięty pięciornikiem. To spokrewniona z różą niewysoka roślina o prostych żółtych kwiatach bardzo podobnych do tych, jakie rysują dzieci. Jej płozące się poziome łodygi zaczepiają o nasze stopy. Pięć metrów dalej pięciornik nagle znika i wkraczamy w gęstą kępę groszku żółtego oplatającego wąsami wyższe trawy i wspinającego się po nich w górę. W gęstych zaroślach słychać wysokie krzyki walczących ze sobą ryjówek; te maleńkie, ale bardzo żarłoczne drapieżniki żyją krótko i gorączkowo, ciągle jedząc i zaciekle broniąc przed sobą nawzajem swoich terytoriów. Po groszku zaczyna się zwarty skrawek koniczyny łąkowej, w której roi się od wyposażonych w długie ssawki trzmieli *Bombus diversus*, trzmieli ogrodowych i trzmieli rudych zbierających jej słodki nektar i bogaty w białko pyłek w kolorze toffi. Potem wkraczamy w gąszcz przytulii, upojnie pachnącej rozłożystej rośliny o maleńkich ciemnozielonych liściach i bujnych pękach miniaturowych żółtych kwiatów. W dawnych czasach, zanim wynaleziono wygodne sprężynowe materace, przytulii używano do wypełniania sienników – stąd jej angielska nazwa: *lady's bedstraw*.

Idziemy na południowy zachód, teren łagodnie opada. Po drugiej stronie doliny widać stare zabudowania położonej kilometr stąd małej wioski Villemiers. W dole wije się Transon, leniwy strumień od czasu do czasu rozlewający się w małe błotniste kałuże. Mieszkają w nim liczne nutrie, potomkinie południowoafrykańskich gryzoni, które przed

laty uciekły z hodowli i schroniły się w licznych rzekach i jeziorach Charente. To zwierzęta wodno-ładowe, bardzo podobne do bobrów, jeśli nie liczyć długich szczurzych ogonów. Potrafią być nieco uciążliwe, bo świetnie ryją i drążą ogromne nory w brzegach, dokładnie na wysokości tafli wody. Strumieniom to raczej nie szkodzi, ale poważnie zagraża sztucznym ciekom i zbiornikom, ponieważ niszczy tamy*.

W oddali po lewej rozbrzmiewa płaczliwe nawoływanie jakiegoś ptaka. Moi chłopcy i ja długo próbowaliśmy go wytropić. Słyszałem go tylko w Chez Nauche. Przez większość wiosennych i letnich dni nad łąką rozlega się nosowe „kwa-kwa”, z wyraźną, choć krótką przerwą, dobiegające zwykle z południowego wschodu. Wydaje mi się, że zawsze odzywa się tylko jeden. Za każdym razem, kiedy próbuję opisać jego krzyk zaprzyjaźnionym ornitologom, śmieją się i mówią, że to kaczka, ale to dlatego, że nie potrafię dobrze oddać tego dźwięku. Nawoływanie dochodzi zwykle jakby z dużego dębu na miedzy. Skradamy się tam z chłopcami w wysokiej trawie, ale gdy się zbliżamy, ptak nieodmiennie milknie, choć nie widzimy, by odlatywał. Moi synowie podejrzewają, że to jakieś zjawiskowe ptaszysko, jaskrawe, na metr wysokie, z czubem i długim ostrym dziobem, ale jeśli by tak było, musiałyby być prawdziwym mistrzem ukrywania się.

* W Anglii również żyły takie uciekinierki. W latach dwudziestych zostały przypadkowo introdukowane w Anglii Wschodniej. Doprowadziły do prawdziwego spustoszenia; drążyły nory w brzegach rowów i kanałów melioracyjnych, co w tej płaskiej okolicy często skutkowało zatapianiem pól. W 1989 roku poznałem naukowca, który właśnie zaczynał pracę w finansowanym przez brytyjskie Ministerstwo Rolnictwa, Leśnictwa i Rybołówstwa centrum kontroli nutrii. Wtedy jednak, choć jeszcze nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, nutrie zostały już wybite; ostatnią widziano w Norfolk w 1988 roku.

Zastanawiam się, czy w ogóle jest ptakiem. A nuż to jakaś dziwna żaba? Może się kiedyś dowiemy.

Idziemy dalej, w kierunku stromego zbocza na południowym krańcu łąki. Jest tu bardziej sucho, rośnie coraz więcej babki lancetowatej. To niepozorna roślina o skromnych brązowych kwiatach, z których zwieszają się żółte frędzle pręcików. Jej wrzecionowate liście są ulubionym pożywieniem larw ślicznej przeplatki cinksii. Angielska nazwa tego motyla, *Glanville fritillary*, pochodzi od jednej z nielicznych siedemnastowiecznych lepidopterolożek – lady Eleanor Glanville, która odkryła ten piękny gatunek nieopodal swojego domu w Lincolnshire i jako pierwsza go opisała. Z Anglii przeplatki już dawno zniknęły – można je dziś spotkać tylko na południowym wybrzeżu wyspy Wight – ale w Chez Nauche występują o tej porze roku bardzo licznie, i kiedy idziemy, wypłaszamy ich z traw dziesiątki. Skrzydła przeplatki od spodu są pomarańczowo-kremowo-czarne, a z wierzchu pokryte czarno-pomarańczową szachownicą, tułów porasta sympatyczne futerko. Zawsze byłem dość przywiązany do tego gatunku; jako dziecko kupiłem poczwarki w Worldwide Butterflies i hodowałem te motyle w swoim pokoju. Ich aksamitnoczarne gąsienice są niezwykle towarzyskie. Wykluszy się z dużych kupek żółtych jaj, żyją razem na babce w jedwabistych sieciach, które same tkają. Kiedy pożą całą roślinę, w jakiś sposób porozumiewają się co do tego, że czas ją opuścić, i wspólnie wyruszają ku następnej.

Docieramy do zachodniej granicy mojej łąki. Biegnie tędy polna droga z głębokimi koleinami, po obu jej stronach rosną dęby, leszczyny i tarnina. Przeciskamy się przez wąską przerwę w tym gąszczu, po łydkach drapią nas kolczaste myszopłochy. Droga jest cienista; w gorące dni muchy chronią

się tu przed upałem. Przeprowadziłem was w to miejsce, żeby pokazać wam wietki gorczyczniki, białe jak duchy delikatne motyle, latające powoli wte i wewte niczym patrol graniczny, ale tak niemrawo, jakby miały zaraz umrzeć. To kolejny gatunek, który z niezbyt dobrze zbadanych powodów szybko znika z Anglii, ale w Charente najwyraźniej ma się świetnie. Droga skręca w lewo, a potem prowadzi stromo w dół, do leżącego tuż za Chez Nauche strumienia. Przed miejscem, w którym strumień z bulgotem przepływa pod drogą, znajduje się małe bajorko. Na powierzchni wody wiruje szalony rój lśniących wodnych chrząszczy. Często widuję tu zaskronce polujące w płytkiej wodzie na ryby i kijanki, ale dziś ich nie ma. Kiedy zawracamy, przelatuje koło nas metalicznie niebieski samiec świtezianki lśniacej. Świtezianka lśniaca to królowa świtezianek – największy z gatunków występujących w Europie i chyba najbardziej zjawiskowy. Ciało samca jest opalizujące, duże niebiesko-czarne plamy na skrzydłach migoczą w rytm uderzeń. Samice są nieco skromniejsze, metalicznie zielone. Pary często przesiadują razem – ich widok zapiera dech w piersi.

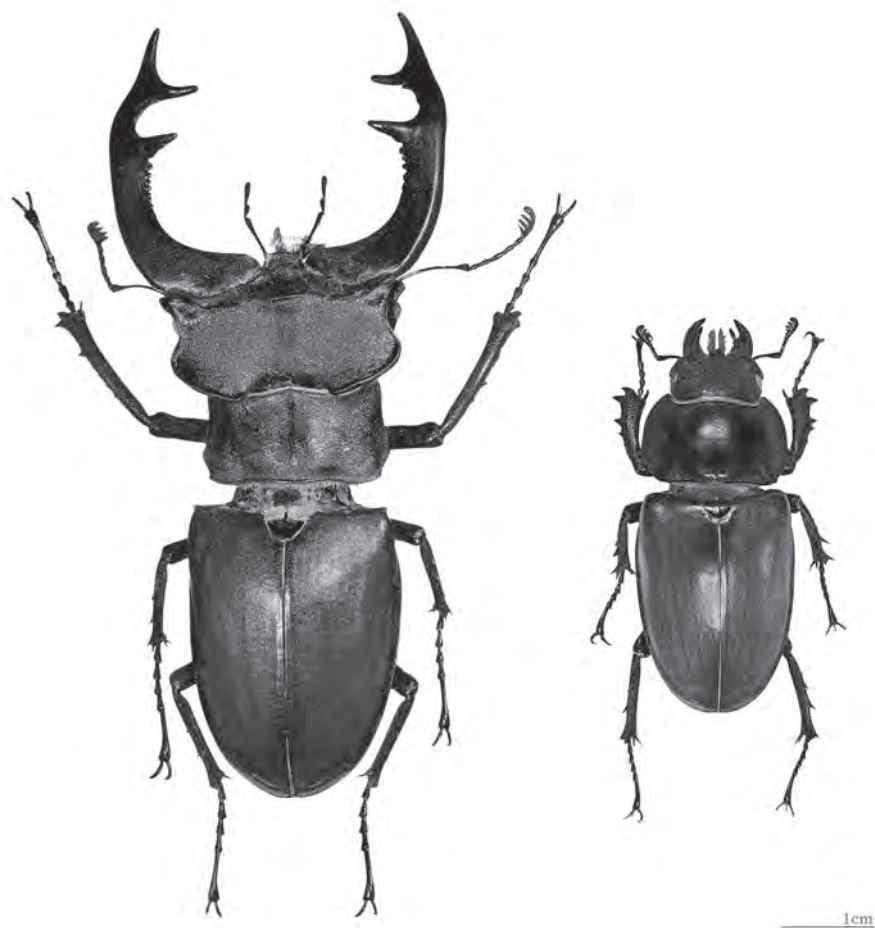
Zawracamy, idziemy kawałek pod górę i wracamy przez żywopłot na łąkę. Wspinamy się po stromym zboczu, kierując się na północny wschód, w stronę małego samotnego drzewa. To orzech włoski, posadziłem go jakieś sześć lat temu. Ma już ze trzy metry. Pewnego dnia wyrośnie dość duży, by w jego cieniu urządzić piknik, może nawet da nam orzechy. Na smukłym szarym pniu przysiadła młodzianka modliszka. Śledzi nas wzrokiem, poruszając trójkątną głową, jakby oceniała potencjalne ofiary. W gąszczu liści modliszek prawie nie widać, ta wybrała sobie złe miejsce. Potężne przednie odnóża zwinęła pod sobą, szczepiając wystające

z nich rzędy ostrych kolców, ale jeśli jakiś owad okaże się na tyle nierozsądny, by podejść zbyt blisko, błyskawicznie go zaatakują, a jeżeli rzuci się na nią ptak, modliszka otworzy skrzydła i pokaże podobne do oczu wielkie plamy, których nie boją się tylko najodważniejsi*.

Zaraz za orzechem znajduje się płytkie zagłębienie, szerokie może na dwadzieścia metrów. Rośnie tu mnóstwo bazylii, tymianku i mięty, ich zapach przyprawia o zawrót głowy. Jeśli się tam usiadzie, jest się niewidocznym; to miejsce jakby stworzone do tego, by w nim odpoczywać i chłonąć łąkowe widoki, aromaty i dźwięki. Obok nas przelatuje samiec jelonka; o tej porze roku jest ich tu pełno. Masywne szczęki służące do walki o samice sprawiają, że te duże chrząszcze są niezdarne i tak powolne, że bez trudu można je złapać w locie – ale temu zawodnikowi odpuszczam.

Idziemy na wschód. Łąka łagodnie opada ku dolince z małym źródłem na dnie. *Monsieur* Poupard pompował stąd wodę do zardzewiałego zbiornika w jednej z szop przy domu. Dzięki temu oszczędzał pieniądze, bo we Francji za wodę z wodociągów się płaci, i to jedne z wyższych stawek na świecie. Źródło zostało pogłębione, ściany wzmocniono kamieniami; wyciekająca spomiędzy nich strużka spływa na południe do strumienia. Pozwoliłem, by wokół źródła wyrosły krzaki, głównie tarnina i jeżyny, wspaniały

* Z modliszkami, zapewne z powodu ich niezwykłego wyglądu i sporych rozmiarów, długo wiązały się najróżniejsze dziwne przesady. W Ameryce Północnej powszechny był pogląd, że modliszki potrafią oślepić ludzi i zabijać konie. Francuzi za to wierzyli, że wskazują drogę dzieciom, które się zgubiły, a w niektórych częściach Afryki uważa się, że przynoszą szczęście i czasem wskrzeszają zmarłych. Nieźle jak na owada tak blisko spokrewnionego z karaluchem.



Samiec (z lewej) i samica (z prawej) jelonka rogacza.

nieprzenikniony gąszcz, w którym gniazdują ptaki. Trochę niżej posadziłem kosańce żółte; dobrze się przyjęły, ich woskowane liście i łodygi wystrzeliły wysoko ponad jeżynowe chaszczę, jaskrawe kwiaty przyciągają trzmiele.

Za kosańcami znajdują się staw i nieforemna tama z kamieni i gliny, którą zbudowałem, by stworzyć dodatkowe miejsce dla zwierząt wodnych – jeszcze o tym opowiem. Przechodzimy po tamie i idziemy pod górę, dalej na wschód. Po prawej granicę łąki wyznaczają potężne dęby, ich korony wypełnia bulgoczący śpiew cierniówek. Docieramy na szczyt wzgórza, w pobliżu wschodniej granicy mojej posiadłości. Siadamy i patrzymy na zachód. Słońce opada za horyzont, ochrowe zabudowania Chez Nauche rzucają w naszą stronę długie cienie. Nad nami przelatuje pierwszy w tym roku witeź, wspaniały żółto-czarny motyl o tylnych skrzydłach ozdobionych niebiesko-czerwonymi oczkami i długimi ogonkami. To samiec, z zapalem szukający partnerki. Pasi-koniki, które zamilkły, kiedyśmy się zbliżali, znów wychynęły ze swoich kryjówek i podjęły śpiew. Zbliża się lato, moja ulubiona pora roku. Dla owadów to czas seksu, nektaru, słońca i kwiatów. Lubię to miejsce. Nic nie krępuje przyrody, wszystko jest tak, jak powinno być. No prawie. Mogłem wziąć kilka zimnych piw. I może kawałek sera.

Zamiast jechać na koniec świata, wyjdź na pobliską łąkę. Dave Goulson zabiera nas na safari po mikrokosmosie. Fascynująca przygoda.

PAULINA REITER

„Wysokie. Obcasy”, prywatnie działkowiczka

Fascynująca gawęda o tajemniczym świecie, który jest tak blisko nas.

Autor wspaniale łączy naukową precyzję z lekkością pióra.

DR HAB. ŁUKASZ ŁUCZAJ

pionier łąk kwietnych w Polsce, twórca mieszanki nasion Polska Łąka Kwietna

Czy owadom chodzi tylko o jedzenie i seks?

Dlaczego motyle są w plamki? Po co stuka tykotek?

Czemu miłość pluskwiaka tak rani?

Czy słusznie brzydzimy się much? Jak szybka może być ważka?

I czy polityka os jest lepsza niż ludzka?

Dave Goulson, znany brytyjski entomolog, kupił trzynaście hektarów łąki w samym sercu francuskiej wsi. Ta książka to opowieść o mieszkańcach tej łąki i o zawodowych perypetiach autora – a także apel i przestroga.

Przyroda to niesłychanie różnorodny, złożony i precyzyjny system.

Mamy ją na wyciągnięcie ręki, ale często nie dostrzegamy jej i nie rozumiemy.

Dzięki *Łące* możemy się tego nauczyć.

Chodźmy do ogrodu albo do parku,

kucnijmy w trawie i posłuchajmy, co tam piszczy.

Doceniemy piękno rozmaitych przejawów życia.

I zastanówmy się, jak możemy je ocalić...

cena: 37,90 zł

www.marginesy.com.pl



9 788365 973061

PATRONAT MEDIALNY



w sprzedaży także

